ZBIÓR
DRAMATYCZNY
UŁOŻONY i WYDANY
dla
TEATRU AMATORÓW
w
POZNANIU.

przez
EDWARDA RACZYNSKIEGO.

№. 2.

w POZNANIU,
w Drukarni na Garbarach №. 45.
1841.

№ 2.

MĘDRZEC
KOMEDYA
W PIĘCIU AKTACH
ORYGINALNIE
PROZĄ NAPISANA
przez
Józefa Wybickiego.

WYDANA PRZEZ
Edwarda Raczynskiego.

w POZNANIU,
w Drukarni na Garbarach № 45.
1841.

IMPRIMATUR
Czwalina, Censor.
Posen, den 7. März 1841.

OSOBY.

Domownicki, ojciec Julianny.
Domownicka, matka Julianny.
Julianna.
Górnogłębski, mędrzec.
Sąsiadowicz, przyjaciel Domownickiego.
Erast, synowiec Sąsiadowicza, kawaler Julianny.
Pani Krupska, sąsiadka.
Jadwiga, służąca Julianny.
Biegacz, sługa Górnogłębskiego.

Scena w domu Domownickich.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

Biegacz.

Bodaj to służyć u człowieka mądrego. Służyłem u żołnierza, co dzień batogi — u skąpego, ledwom z głodu nie umarł — u wdowy, głowę mi przekrzyczała — u gospodarza — nie dał i spać — u młodego panicza — siedziałem w kozie i ledwo do taczek nie przyszło. Jużem chciał świat porzucić; szczęściem nadarzył mi się mój pan teraźniejszy. Nie wiem, czy on czarownik, czy to się zarazą dzieje; ale od tego czasu, jak u niego służę, zdaje mi się, że mi co dzień rozumu przybywa. Jeżeli to dłużéj potrwa, podobno ja będę księgi pi-

sał. Ale, jak to księgi pisać, kiedy ja ani czytać, ani pisać nie umiem? Byleby chciał mój pan, on we wszystko potrafi. Albo to nie można naprzykład dyktować, ażeby drugi pisał, a ja mu będę powiadał. Cóż to ja mu będę powiadał? — Oto naprzykład —

SCENA DRUGA.

Biegacz i Jadwiga.

Jadwiga.

A ty tu co robisz?

Biegacz.

Książkę.

Jadwiga.

Cóżto! w głowę zaszedł?

Biegacz.

Nie przeszkadzaj.

Jadwiga.

Cóż się to znaczy?

Biegacz.

Oto to znaczy — że kiedy się na rzeczach nie znasz — a kiedy jesteś z ludźmi rozumnymi, to słuchaj. —

Jadwiga.

Czy ty żartujesz?

Biegacz.

Nie żartuję. Wiesz, u kogo ja służę?

Jadwiga.

Któż cię tam wie. —

Biegacz.

Od tego czasu, jakeśmy razem u owej wdowy służyli, od któréj i tyś poszła i jam uciekł, zwiedziłem świat, miałem wielu panów — teraz u takiego jestem — oj, gdybyś ty wiedziała, jaki to człowiek?

Jadwiga.

Słucham.

Biegacz.

On, kiedy zacznie gadać — jakże on pięknie gada! A wszystko coś — jako to — o gwiazdach — o słońcu — o powietrzu — Naprzykład, co to jest morze — a wiesz ty, co to jest wieloryb?

Jadwiga.

A mnie tam co do tego. —

Biegacz.

Oj, żebyś ty wiedziała — jak to w morzu wieloryby — jak to Europa, Azya.

Jadwiga.

Mój kochany, mnie ciebie żal.

Biegacz.

Mnie cię to żal, żeś prostaczka, że nic nie umiesz — nie wiesz o niczem, że —

Jadwiga.

Dajże pokój tym bałamuctwom — powiedz — kto jest twój pan. —

Biegacz.

Jest to człowiek, nad którego człowieka niemasz rozumniejszego, większego, godniejszego, zacniejszego. —

Jadwiga.

Niechżeć tak będzie — ale pocoście tu z twoim Panem przyjechali?

Biegacz.

Piękne pytanie! Oto po to, żebysmy was widzieli.

Jadwiga.

Jak to?

Biegacz.

Mój Pan twoją Panią, a ja ciebie zwyczajnie.

Jadwiga.

Pewnieś to w książkach twoich wyczytał, że piękny zwyczaj!

Biegacz.

Czy w książkach, czy nie w książkach, dość, że Jejmość obiecala córkę swoję wydać za mojego Pana; a przez — konsekwencyą.

Jadwiga.

Obejdzie się bez téj konsekwencyi — wiem ja, że Jejmość chce twego Pana z swoją córką ożenić, ale Jegomość niechce.

Biegacz.

Tem lepiéj.

Jadwiga.

Tem gorzéj.

Biegacz.

A stałoż się u was co tak, jak Jegomość chciał?

Jadwiga.

Nie stało — ale stanie.

Biegacz.

Moja kochanko — mnie ciebie żal, jak to ty nie umiesz wnosić konsekwencyi — Ale ty może i nie wiesz tego, co to jest konsekwencya?

Jadwiga.

Ej, co mnie tam z twojemi słowami, tu idzie o rzecz, nie o słowa.

Biegacz.

O cóż tu idzie?

Jadwiga.

O to, że twój Pan ani się Jegomości, ani Pannie, ani krewnym, ani przyjaciołom wcale nie podoba, i tybyś sam powinien perswadować twojemu Panu, żeby odstąpił dobrowolnie pretensyi, któréj choćby nakoniec skutek otrzymał.

Biegacz.

I otrzyma zapewne.

Jadwiga.

Choćby więc otrzymał, nie będzie szczęśliwym, i moją Panią uczyni nieszczęśliwą.

Biegacz.

A to jak?

Jadwiga.

Oto tak — że ona go nigdy nie będzie kochać.

Biegacz.

Jak to męża nie kochać?

Jadwiga.

Tak, jak się teraz zwyczajnie dzieje.

Biegacz.

Jak to nie kochać człowieka mądrego? —

Jadwiga.

Można go szacować, poważać, i to, jeżeli wart, ale kochać? —

Biegacz.

Nie bój się, moja Panno, niech go tylko ona usłyszy, (a ja będę też przy nim,) to dopiero zobaczysz, jak to rzeczy pójdą, (odchodzi — wraca się) — ale, ale — a gdybym się ja też np. spytał, jak mam honor być w sercu WPanny Dobrodziejki —

Jadwiga.

Jeżeli będziesz z Panem trzymał, tak tak będziesz u mnie, jak twój Pan u mojéj Pani.

Biegacz.

To dobrze.

Jadwiga.

To źle.

B i e g a c z.

Mylisz się WPanna.

J a d w i g a.

Mylisz się WPan.

B i e g a c z.

Oj, moja Panno, zobaczysz, że się ja nie pomylę.

J a d w i g a.

Oj mój Mościwy panie, zobaczysz, że się pomylisz.

B i e g a c z.

Ale bo to ty na pamięć tylko gadasz, a gdybyś to tylko chciała wnijść w rzecz, jak się należy, i uważyć konsekwencye — to wielka szkoda, że ty nie wiesz, co to jest konsekwencya. —

J a d w i g a.

Co mi ty o tych twoich konsekwencyach gadasz. — Jużem ci powiedziała, że

ja tego ani umiem, ani chcę umieć. — Jużem ci powiedziała, że ja téj to waszéj konkurencyi niechcę — a choćbym i chciała, to moja pani, to Jegomość.

B i e g a c z.

Jużem ci odpowiedział na to, co mi ty prawisz o ojcu i o pannie. Bądź ty tylko z nami, a obaczysz.

J a d w i g a.

Cóż obaczę? — pewnie twoje gwiazdy — wieloryba — Europę — Azyą.

B i e g a c z.

A Wpanna widzę żartujesz. — A gdybyś wiedziała, naprzykład.

J a d w i g a.

Jużem ci powiedziała, i wręcz, że mnie temi andronami niezbałamucisz; postępuj sobie po prostu, nie pniéj się nieboże, tam, gdzie dosiądz nie możesz, a będę ci wierzyć. Rozumiesz?

Biegacz.

A pfe! po prostu — a wiesz ty, z kim gadasz?

Jadwiga.

Z tobą. Coś przedtym tych bałamuctw nieznał, a teraz twój pan głowę ci zawrócił, i prawisz raz w raz, a wszystko nic do rzeczy. A jeżeli tego dłużej będzie, to cię porzucę — bo mnie już uszy bolą słuchać te bajki, co mi prawisz. Chcesz, żebym tobie odpowiadała, gadajże tak, jakeś pierwéj gadal, inaczéj. —

Biegacz.

Cóż inaczéj?

Jadwiga.

O to ani z tobą gadać — ani nawet na ciebie patrzeć nie będę.

Biegacz.

Kiedy tak, dobrze, składam na stronę mądrość — mówże teraz śmiało.

Jadwiga.

Czy ty myślisz, że ja się ciebie boję?

Biegacz.

Nie boisz — ale przyznaj się, że masz jakiś wstręt — jakowyś respekt — jakoweś poszanowanie, bo to naprzykład. . .

Jadwiga.

O ho! już ci się znowu we łbie kręci — Bywaj zdrów. — (odchodzi.)

Biegacz. (zatrzymuje)

Stój — zaczekaj no — mówmy. —

Jadwiga.

A nie będziesz znowu wpadał. —

Biegacz.

W co?

Jadwiga.

A chcesz, żebym powiedziała?

Biegacz.

Mówmy o czem inszem — zaczynaj.

Jadwiga.

Kiedyśmy razem służyli u owéj wdowy, pamiętasz, jakieś czynił starania, jakie przysługi, jakie grzeczności dla mnie?

Biegacz.

Pamiętam.

Jadwiga.

Pamiętasz, wieleś razy oświadczał się, iż twoja największa chęć, największa ochota, największe szczęście, żebyś mi się podobał?

Biegacz.

Ja i teraz to mówię. —

Jadwiga.

Ale ja temu nie wierzę. —

Biegacz.

Dla czegoż?

Jadwiga.

Oto dla tego, iż gdybyś, jak powiadasz, był szczerze do mnie przywiązanym, tobyś czynił to, co ja chcę. —

Biegacz.

Czegoż chcesz?

Jadwiga.

Żebyś pana twego ztąd odprowadził, żebyś, jeżeli wyprowadzić nie możesz, przynajmniéj odwiódł go od konkurencyi do pani mojéj - (postrzega Juliannę); ale widzę, przychodzi — idź ztąd. (Biegacz odchodzi.)

SCENA TRZECIA.

Julianna Jadwiga.

Jadwiga.

Czemuż to Wpanna tak smutna? — to nie na Mością pannę, a osobliwie w tym wieku.

Julianna.

Zapewne, kiedy niema racyi. —

Jadwiga.

Ale bo też częstokroć i sami sobie dawamy, bez żadnej potrzeby, przyczyny do smutku. —

Julianna.

Dziwuję ci się, moja kochana, że tak gadasz, jakbyś sama nie wiedziała, co mnie dolega. —

Jadwiga.

Alboż to rzeczy zdesperowane. —

Julianna.

Przyjazd pana Górno-głębskiego zapewne będzie fatalny dla mnie — szacunek, który ku niemu powzięla matka moja, zaszkodzi Erasdowi. —

Jadwiga.

W czymże?

Julianna.

Po cóż mnie wyciągasz na słowa? — znasz jego do mnie przywiązanie, znasz jego serce, jego przymioty, jego poczciwość.

Jadwiga.

Ale, bo to. —

Julianna.

Cóż dalszego?

Jadwiga.

Jak to powiadają, miłość, kiedy maluje, podchlebia.

Julianna.

Może to być dla inszych. Mnie passya nieuwodzi. Przywiązanie nasze wzajemne nie nakształt romansów. Pierwéj zaczęłam szacować, niżeli —

Jadwiga.

Dokończ Wpanna. —

J u l i a n n a.

Niżeli — „ — Ale Jejmość. (Jadwiga odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Domownicka i Julianna.

D o m o w n i c k a.

Jużem Waści dawniej powiedziała, że tu nie trzeba czasu darmo tracić. Czas, jak mówi Pan Górnogłębski, jest to sprawiacz ogólny — jest to wola czynności. Rozumiesz Waść.

J u l i a n n a.

Nie rozumiem, Mcia Dobrodziejko.

D o m o w n i c k a.

Co to za tępa imaginacya, pojęcie twarde; jak to znać, że się Waść dyskursom ludzi uczonych z pilnością nie przysłuchujesz, i nie korzystasz z skarbu perfekcyi, który z takowych źródeł wypływa, dyskursu Pana Górnogłębskiego.

J u l i a n n a.

Ale jakże ja mam Mcia Dobrodziejko z nich profitować, kiedy ja ich nie mogę pojąć — gada niezrozumiale.

D o m o w n i c k a.

Nie mówi się gada, ale mówi.

J u l i a n n a.

To tedy mówi niezrozumiale.

D o m o w n i c k a.

Niezrozumiale dla tych, którzy jak Waść pojmować go nie chcą. Wiem ja dobrze, Mościa Panno, co to się święci. Pod pozorem niby to niewiadomości, kiedy tego potrzeba, masz Waść dowcipu aż nadto. Znam się ja na tem, Mcia Panno. Nie do-

każesz Waść tego, a powinnaś Waść pamiętać, że za wolą rodziców trzeba iść oślep.

Julianna.

To moja powinność.

Domownicka.

Jeżeli więc sama Waść o tem jesteś przeświadczona, powinnaś tak zapatrywać się na Górno-głębskiego, jako na tego, któregom ja Waści obrała.

Julianna (do nóg matce).

Ach, nie kończ WPani Dobrodziejko!

Domownicka (z zadziwieniem).

Cóż to się znaczy, Mścia Panno? taka to Waścina powolność? — taki respekt ku starszym? — taka pamięć tego, coś Waść dopiero wyrzekła? Słuchaj Waść, co mówię, a mówię ostatni raz — dzis jeszcze Górno-głębski będzie twoim mężem — bo ja tak chcę — (odchodzi).

SCENA PIĄTA.

Julianna (sama).

Tego tylko nieszczęściu memu nie dostawało, żeby jeszcze dziś skutek wzięło — Erascie! — ale rodziców słuchać trzeba. Chcą ofiary — będą ją mieli — można usta przymusić do wyrzeczenia. . . .

SCENA SZÓSTA.

Domownicki i Julianna.

Domownicki.

Niemasz tu Jejmości? — ale cóż to widzę, masz oczy zapłakane.

Julianna.

To nic, Mości Dobrodzieju — głowa mnie trochę boli. —

Domownicki.

Pan Sąsiadowicz przyjechał z synowcem swoim; pódźno powiedz matce, żeby przyszła do nas. (Julianna odchodzi).

SCENA SIODMA.

Domownicki (sam).

A czy się moja żona w tym jednym punkcie ze mną zgodzi. Synowiec Sąsiadowicza i młody i rostropny i grzeczny i bogaty; wcale dobra partya dla naszéj córki. Znają się i dawno, i jak widzę ona niema wstrętu. Mątka też lubi rozumnych ludzi, a ten młody kawaler znać, że miał bardzo dobrą edukacyą, bo pięknie o rzeczach mówi — Nadzieja w panu Bogu, że dobrze rzeczy pojdą. —

SCENA OSMA.

Domownicki, Domownicka.

Domownicka.

Dla Boga Mospanie, trzeba też to mieć wzgląd jakiśkolwiek na mnie. Ledwom co zasiadła w bibliotece nad ułożeniem Sfery, a Wpan zaraz po mnie przysyłasz. Jużem była Ekwatora osadziła. Czegoż tam Wpan odemnie chcesz. Ale proszę niebawić.

Domownicki.

Oto moja panno! przyjechali goście.

Domownicka.

To im dać wina.

Domownicki.

Alboż to oni po wino przyjechali.

Domownicka.

Po cóż?

Domownicki.

Po to, po co zwyczajnie przyjaciel do przyjaciela, sąsiad do sąsiada przyjeżdża, żeby się wspólnie ucieszyć, o interessach rozmówić.

Domownicka.

To im Wpan poślij plenipotenta.

Domownicki.

Ale moja panno, to ludzie godni, nam równi.

Domownicka.

Ja im chłopstwa niezadaję.

Domownicki.

Proszę, żebyś Wpani chciała się z nimi obaczyć, przywitać i rozmówić przynajmniéj przez pół godziny.

Domownicka.

O czemże ja mam z niemi mówić.

Domownicki.

Zwyczajnie, o rzeczach potocznych.

Domownicka.

O jarzynie — oziminie — konopiach.

Domownicki.

A choćby i o tem; alboż to gospodarstwo rzeczą jest tak obelżywą, iżby o nim mówić nie można.

Domownicka.

Dajże mi Wpan pokój z temi swojemi konopiami i z tą oziminą.

Domownicki.

Żebyśmy jednak nie mieli téj jarzyny, téj oziminy, tych konopi, niebyłoby pieniędzy na Sfery i na Aequatora.

Domownicka.

Schowajże Wpan tę piękną dyssertacyą dla Ichmościów, ja niemam czasu. (odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

Domownicki (sam.)

Piękna to rzecz nauka, ale jednakowo wołałbym ja mieć w domu gospodynią niż filozofkę. Czy nieszczęście nadało tego Górno-głębskiego. Cóż czynić? — trzeba znosić; może moją powolnością tknięta, mojemi łagodnemi perswazyami skonwinkowana, wróci się do dawnego sposobu życia.

SCENA DZIESIĄTA.

Sąsiadowicz, Domownicki.

Domownicki.

Przepraszam, iż żona moja dotąd służyć Wpanu niemogła, kazałem jéj dać znać o łasce jego, nadejdzie niezabawem, ale trochę słaba, pozwoliż Wpan, że jéj wczasu przerywać nie śmiem.

Sąsiadowicz.

Wiem ja o tem i dawno, kochany panie sąsiedzie, iż Wpan nie śmiesz — przerywać wczasu Jéjmościnego. Chwalę tę delikatność, buduję się wielce z tak uprzejmych attencyi.

Domownicki.

Tak to Mospanie, kto ma żonę, trzeba żeby ile możności przestrzegał jéj wczasu, wygody, zdrowia; płeć jest słaba, delikatna, lada fraszka może jéj zaszkodzić.

Sąsiadowicz.

Dobrze Wpan mówisz — lada fraszka — tak jest — lada fraszka.

Domownicki.

Wpanom nieżonatym te rzeczy zdają się być obojętne, pomniejsze; bo nie wchodzicie w uwagę okoliczności i konsekwencyi, które ztąd mogą wyniknąć. — Ma prawda stan nasz niekiedy przykrości swoje (któż się bez nich obejdzie), ale i słodycze.

Sąsiadowicz.

Prawda — po pieprzu cukier się slodszy wydaje.

Domownicki.

A choćby i tak było, nie sztuka to być cierpliwym, trzeba umieć i cierpieć.

Sąsiadowicz.

Zgoda. Ale porzuciwszy te moralne dyssertacye, przystąpmy do interessu. Synowiec mój z dawna obojgu Wpaństwu znajomy. Choć to moja krew, mogę jednak bez chluby powiedzieć, iż jest młodzian ze wszech miar i uczciwy i przystojny. O substancyi Wpan wiesz, tem, co po mnie weźmie, nie zuboży się. Jak sam mi powiedział, iż córka Wpana nie wzgardzi nim. Na cóż tu, kochany panie sąsiedzie, długich korowodów, rozmówcie się, naradzcie się, jeżeli się mój synowiec podoba, powiedźcie szczerze, jeżeli nie — i tego nie tajcie. — Ani ja, ani on nie będziemy tego mieć za złe i owszem będzie to znakiem łaski Wpaństwa i dobrego

serca, kiedy w prędkim a jawnym odmowieniu, gdybyście téj konkurencyi sobie nie życzyli, chcieli też nam oszczędzić nie potrzebnych zabiegów. —

Domownicki.

Już to my nie dzisiejsi, mój dobry przyjacielu, zrosliśmy z sobą, razem chodziliśmy do szkół, razem wyszliśmy na świat, żyjemy w sąsiedztwie; więc między nami nie potrzeba żadnych ceremonii. Jakeś mi więc wyjawił intencye swoje i synowca - szczerze i bez ogródki, tak i ja na nie odpowiadam, iż Erast podobał mi się i chcę go mieć zięciem. Z żoną o tem jeszcze nie mówiłem, ale spodziewam się, iż skoro córka kawalerowi sprzyja, matka na moim zdaniu przestanie. —

Sąsiadowicz.

A ja się boję. —

Domownicki.

Dla czegoż ta bojaźń?

Sąsiadowicz.

Oto dla tego, iż dość mężowi chcieć biało, żeby żona chciała czarno.

Domownicki.

Zwyczajny to zarzut na białegłowy starych młodzieńców; mścicie się na nich za to, że was nie chciały.

Sąsiadowicz.

Jakto, nie chciały — my ich nie chcieli.

Domownicki.

Niech tam sobie będzie, jak chce — ja się do zaczętego dyskursu wracam. Rozmówię się z żoną — pomiarkujemy sposób myślenia córki, reszta do kawalera należeć będzie.

AKT II.

SCENA PIERWSZA.

Erast i Jadwiga.

Erast.

Czegoż się mam spodziewać?

Jadwiga.

Żeby od nas rzecz zawisła, wszystkiego dobrego, ale to —

Erast.

Cóż za ale —

Jadwiga.

Ale, bardzo złe, bardzo trudne do przezwyciężenia. Jejmość upornie Górnogłębskiego trzyma, a u nas zwyczajnie Jejmość ma racyą.

Erast.

A Jegomość?

Jadwiga.

Jegomość? Ja nie wiem, dla czego on się tak zowie. Zwyczajnie, on dobrze myśli, dobrze mówi, dobrego chce — a Jejmość swoje jak robi, tak robi.

Erast.

Ale Julianna.

Jadwiga.

Płacze.

Erast.

Mogęż być pewnym o jéj sercu?

Jadwiga.

Jużciby nie płakała.

Erast.

Ale to może pochodzi z inszéj przyczyny.

Jadwiga.

MPanie! kiedy się Pannie kawaler trafia, a Panna płacze; można się natenczas pewnie założyć, że inszego kocha.

Erast.

Dajmy to. Ale ten drugi teraz, czyli to ja?

Jadwiga.

Jeszcześmy oprócz WPana i Górnogłębskiego, trzeciego tu nie mieli. Dobrze to mówią, że u amantów zawzdy się coś osobliwego w głowie roi. Wybacz WPan, ale mi się zdaje, że WPan sam sobie jakieś niepotrzebne imaginacye czynisz.

Erast.

Miłość iest trwożliwa, i dla tego —

Jadwiga.

Nie trzeba jéj wierzyć. —

Erast.

Krzywdę mi czynisz. —

Jadwiga.

Ja prawdę WPanu mówię, bobym chciała WPanu i Pani mojéj usłużyć, a kiedy widzę, że sobie jakiemiś dziwacznemi fantazyami głowę nabijacie WPaństwo — to mnie to gniewa.

Erast.

Wybacz, może, że i z zbytecznéj delikatności, z czułości ona pochodzi.

Jadwiga.

MPanie, ja tych wykwintów nie rozumiem, gadaj WPan po polsku.

Erast.

Nie słyszałaś tam co o mnie?

Jadwiga.

Od kogo?

Erast.

Z ust twojéj Pani.

Jadwiga.

Cóż miałam słyszeć, dość to, com już WPanu powiedziała, że płacze.

Erast.

Powiedz jéj, że i ja w równym z nią stanie jestem — powiedz, iż, jeżeli dłużéj te nieszczęśliwe przeszkody wznawiać się i trwać będą, życie moje —

Jadwiga.

Będziesz WPan zdrów, a nie baj nic do rzeczy. WPan rozumiesz, że ja Meluzyna, albo Banaluka — Poprzestań WPan tych tam swoich andronów miłosnych — a myśl, jak te rzeczy do skutku przywieść

— Jesteś WPan pewien o sercu mojéj Pani — czegoż WPanu więcéj potrzeba?

E r a s t.

Dałby to Bóg — a tym czasem na dowód niewygasłéj mojéj wdzięczności (daje jéj pieniądze).

J a d w i g a.

Prawda, jestem uboga. Ale nie wierz WPan, abym to, co czynię, czyniła dla jakiego mojego interessu, i owszem (oddaje pieniądze). Weź WPan to, coś mi dał, bo może będziesz rozumiał.

E r a s t.

Nie rozumiem ja nic złego o tobie, i owszem, na pokazanie, jak twoję cnotę szacuję, — proszę, przyjm wszystko, (oddaje worek z pieniędzmi).

J a d w i g a (bierze i chowa).

Ale WPan nie rozumiéj, żeby to dla jakiego interessu.

E r a s t.

Bynajmniéj. (odchodzi, wraca się).

Ale bądź mi pomocna — pamiętaj w okolicznościach zdarzających się.

J a d w i g a.

Niezapomnę — spuść się Wpan na mnie. A nie rozumiéj, żeby to — (Erast odchodzi).

SCENA DRUGA.

J a d w i g a.

Nie źle rzeczy idą — (trzęsie workiem) — widzę pełny — zda się — Niespodziewałam się, żeby się to tak dobre okazye trafiać mogły. — Żeby to jeszcze z swojéj strony i Biegacz mógł co zyskać — żebrałby się kapitalik, bo to affekty, dobreć one są — ale jednakowo to prawda, co ludzie mówią, że zła miłość o głodzie.

SCENA TRZECIA.

Domownicki, Jadwiga.

Domownicki.

Gdzie jest moja córka?

Jadwiga.

Jest u siebie.

Domownicki.

A Jejmość.

Jadwiga.

I Jejmość u siebie.

Domownicki.

Ale co robi?

Jadwiga.

Albo ja wiem. —

Domownicki.

Ale gdzie jest?

Jadwiga.

A jużem powiedziała, że u siebie.

Domownicki.

Ale gdzie u siebie?

Jadwiga.

Zwyczajnie w bibliotece.

Domownicki.

Sama?

Jadwiga.

Zwyczajnie z panem Górnogłębskim.

Domownicki.

Cóż tam robi?

Jadwiga.

Przyszłam tam i zastałam, że kręcili jakieś kółka. — Kazała mi trzymać objęcie jakieś mosiężne — potém kazała sobie podać pióro, kałamarz i papier — i rachowała.

Domownicki.

Co rachowała?

Jadwiga.

Jużci — podobno kółka.

Domownicki.

Cóż daléj? —

Jadwiga.

Oto wywróciłam niechcący kałamarz i wypchnęła mnie z izby.

Domownicki.

Powiedzże jéj, że goście czekają — a i pan Górnogłębski do nas przyszedł.

(Jadwiga odchodzi.)

SCENA CZWARTA.

Domownicki (sam).

Pewno przyjdzie, kiedy już Górnogłębskiego w kompanii mamy. — Bógdaj on był w domu moim nigdy niepostał.

SCENA PIĄTA.

Domownicki, Domownicka.

Domownicka.

Gdziesz są ci Wpana Ichmościowie.

Domownicki.

Zostawiłem ich w ogrodzie — mają tu zaraz przyjść. Proszę Wpani, bądźże im rada — i racz dobrze przyjąć.

Domownicka.

Zdaje mi się, iż jeszczem nikogo nie wypędziła z domu Wpana.

SCENA SZÓSTA.

Domownicki, Domownicka, Sąsiadowicz, Erast.

Sąsiadowicz (do Domownickiéj).

Cieszę się z polepszenia zdrowia Wpani Dobrodziejki.

Domownicka.

Obligowana jestem Wpanu, ale

Domownicki.

Troche była słaba.

Domownicka.

Niepamiętam, żeby

Domownicki.

Zapewne lepiéj już o tym i nie pamiętać. —

Domownicka.

Ale po cóż zapominać, kiedy — i nawet od dawnego czasu.

Domownicki.

Tak jest od dawnego czasu żona moja.

Domownicka.

Ja niewiem, jak to można, zdrową będąc.

Domownicki.

Zdrową będąc, zapewne lepiéj o tym, co przedtym było.

Domownicka (do męża).

Ale proszę mi dać mówić.

Domownicki (do żony).

Jam to był namienił Jegomości, iż dla słabości zdrowia potrzebowałaś Wpani wczasu i dla tego. —

Domownicka.

I cóż dla tego?

Sąsiadowicz.

Mcia Dobrodziejko! tym lepiéj, że w dobrym zdrowiu widziemy Wpanią Dobrodziejkę. Teraz raczysz pozwolić, żebym miał honor z dawna zaszczycającego się łaskawem przyjęciem synowca mojego prezentować.

Domownicka.

Miałam honor widzieć Jegomości.

Erast.

Pożądana wielce jest dla mnie każda takowa okoliczność, kiedy mogę ponowić należyte oświadczenia respektu mojego.

Domownicka.

Mci Panie! to się na peryod nadto długi zanosi. — WPan od tego czasu, jak tu bywałeś u nas, podobno jeździłeś za granicę.

Erast.

W kraju zostawałem Mścia Dobrodziejko.

Domownicka.

A czemuż to WPan nie raczyłeś przestąpić zą granicę.

Erast.

Nie było w tem woli starszych moich.

Domownicka.

Tem gorzéj.

Sąsiadowicz.

Mamy szkoły i w kraju, w nich to synowiec mój.

Domownicka.

Winszuję synowcowi WPana, ale syn mój, gdybym go miała, w nichby nie postał.

Sąsiadowicz.

Opacznie ktoś to udał przed WPanią, publiczne Szkoły — po wszystkie wieki. —

Domownicka.

Winszuję im starożytności, ale to nie jest przyczyną, ażebym ich użyteczność miała przyznać. —

Domownicki.

Ale mnie się zdaje, iż dawnymi czasy.

Domownicka.

Mci panie, co było dawniéj, było źle.

Sąsiadowicz.

Ale któż to te rzeczy tak ogólnie osądził?

Domownicka.

Oczewistość — i zdrowy rozum, — a jeżeli o sędziego idzie, oto (pokazuje przychodzącęgo Gornogłębskiego.): nie uprzedzony, nie gminny, bez przesądu, bez akceptacyi. —

SCENA SIODMA.

Ciż sami i Gornogłębski.

Górnogłębski (z modestyą i affektacyą.)

Nie sędzia, — pomocnik — współ-myślnik — wzajemno-dzielca. —

Sąsiadowicz.

I doskonały i pokorny, to sprzężaj rzadka.

Gornogłębski.

Rodzaj poziomy sługą jest przesądu.

Erast.

Masz nas WPan powolnych, teraz tylko należy. —

Gornogłębski.

Cóż takowego? —

Erast.

Należy kommunikować.

Domownicka.

To nie własność języka, wyraz zagraniczny, pożyczane brzmienie.

Gornogłębski.

Użyczyć.

Erast.

Należy tedy użyczyć rodzajowi ludzkiemu.

Gornogłębski. (uśmiechając się.)

Ludzkiemu?

Sąsiadowicz.

A już ci, jakże go zwać.

Gornogłębski. (niektórzy — reszta.)

Sprężyniste tworzydła.

Sąsiadowicz.

A o czem że to WPan mówisz.

Gornoględski (uśmiechając się.)

Są to może technicyzmy, nie dość tkliwości żądznéj smakowite.

Sąsiadowicz.

Przyznam się WPanu, że wyraz zdaje mi się być nieco subtelny.

Gornoględski.

Przecież przezeń iść trzeba, żeby zasłonę przedrzeć, mgłę rozrzedzić, i duchem bujać.

Domownicka.

Mowa, gdyś WPan tu przyszedł, była o szkołach i w tymem się na sąd WPana odwołała.

Gornoględski.

Alboż o tem można dysputować!

Domownicka (na Erasta.)

Jegomość utrzymuje ich dobroć, ja przeciwnie; Wpana. —

Górnoględski.

Czczość.

Domownicki.

Cóż WPan przez to rozumiesz?

Gornoględski.

Rozumiem, iż to, co zacieśnia pojęcie, co lot umysłu tępi, co samotność czynności wewnętrznych czczo wysila, co jestestwo wzruszeń nadweręża, co nakoniec tkliwe prawidła wspacznie ujmuje; to wszystko niewarte nawet i roztrząśnienia. —

Domownicka. (do Sąsiadowicza.)

Widzisz WPan.

Sąsiadowicz.

Nic nie widzę, Mościa Dobrodziejko.

Górnoględski.

Więc jaśniéj mówię: Tam gdzie pobratymstwo i sklejność, to jest: konnexya albo sympatya. —

SCENA OSMA.

Ciż sami i Julianna.

Górnoględski (do Julianny.)

Nie mogła być pożądańsza rozmowy naszéj przerwa nad przybycie.

Julianna.

Jeżelim przeszkodziła, to odejdę.

Domownicka (do Julianny.)

Zostań Waść.

Górnoględski (do Julianny.)

Opuszczone, cośmy mówili, nagrodziło to co widzim, a gdyby wnijść w zamian.

Julianna.

Ja się na handlu nieznam.

Górnoględski.

Kruszec jest oznaką żądliwych pragnień, a tkliwość godnéj siebie zdobyczy szuka.

Sąsiadowicz.

Bravo!

Domownicki.

Jako widzę, WPan nakształt —

Górnoględski.

Za pozwoleniem WPana, niepowinno się mówić na kształt, ale na wzór.

Domownicki.

Na wzór więc sławnych onych starożytności filozofów, WPan widzę bogactwy gardzisz.

Górnoględski.

Są to przypadki — do jestestwa. —

Sąsiadowicz.

Bez których się jednak obejść nie można.

Górnoględski (do Domownickiéj)

Gminnym — rozkazałaś mi WPani Dob. przynieść ów skrypt.

Domownicka.

Ciekawa wielce będę czytać go. albo jeżeli WPan będziesz mi chciał tę łaskę uczynić.

Górnogłębski.

Z ochotą. — (odchodzą — i Julianna.)

SCENA DZIEWIĄTA.

Sąsiadowicz, Domownicki, Erast;

Sąsiadowicz.

Kiedyż WPan oznaczysz synowcowi mojemu czas łaskawéj determinacyi. —

Domownicki.

Niezabawem — pozwolisz mi WPan tylko, iż na moment do żony mojéj pójdę, i odezwę tę wielce mi miłą opowiem.

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

Domownicka, Górnogłębski.

Domownicka.

To prawda, iż zdania przewyborne, a co mnie najbardziéj rozrzewnia i ujmuje, jest ta świeżość myśli i wynalazków.

Górnogłębski.

Honor mi czynisz Wpani Dobr. łaskawem swoim przyświadczeniem.

Domownicka.

Jest to obowiązek wyznawać uczucia wewnętrzne umysłu, w ten czas gdy je

prawda postrzeżona, przez docieczenia mądrych pism lub rozmów obwieszcza.

Górnoglębski.

Świat jak był tak i jest (lubo teraz trochę mniéj) niewolnikiem przesądów i igrzyskiem błędu. Jeden z największych odłączył płeć niewieścią od dzieł celniejszych towarzystwa, to jest rządu, od poloru umysłu, to jest nauk. Jeżeli błędowi tak grubemu przyczynę jakową kłaść można, nie inną kłaść należy, tylko zazdrość mężczyzn, znających, iż im w podziale przymiot zwierzęcy, moc, a towarzyszkom subtelność dowcipu i bystrość pojęcia zostawione. Znosiła niesprawiedliwe jarzmo płeć damska, teraz gdy już ciężaru jego nieczuje, śmieléj się chwyta prawd wyższego stopnia, bo je bystrzéj docieka, i tkliwiéj czuje. Z tego więc powodu, chętniéj im udzielamy wynalazków i odkryć dążących do uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego.

Domownicka.

Imieniem płci mojéj, zanoszę dzięki, za tak szacowne odkrycia, i upewniam, iż się niezawiodą ci, którzy przypuszczać nas raczą do społeczeństwa prac i usilności.

Górnoglębski.

Jakie mają być stopnie nauk? Poznanie siebie gruntem jest wszystkiego, pierwéj wiedzieć należy, co jesteśmy, nim przystępować do poznania tego, co nas otacza. Czlowiek składa się z duszy i ciała, trzeba żeby w pierwszym wstępie swoim wiedział, co to jest ciało, co to jest duch. Zaczynając więc od zmyślności, sądzę za rzecz najpotrzebniejszą od anatomii, to jest od poznania wszystkich części ludzkiego ciała, żył, artezyów, muskulów, kości etc. naukę zaczynać. Zabawna jest dosyć. Skeleta albowiem sprężynistym wzruszeniem zamiast lalek służyć mogą, a odkrycia jéj będą wiodły młodzież ku ustrzeżenia się szwanków

które się w tym wieku najczęściéj przytrafiają, a choćby się i przytrafiały, sposób uratowania zaraz mieć będą na pogotowiu.

Domownicka.

Prawda, iż ten sposób zaczynania nauk od anatomii jest wcale nowy i jak mogę pamiętać, w żadnym narodzie podobnego przykładu, ani mamy, aniśmy mieli.

Górnogłębski.

Tym lepiéj, Mcia Dobrodziejko — tym lepiéj, że dzieło ma swoją originalność — raczysz sobie Wpani Dobrodziejka przywieść na pamięć, com położył za punkt pierwszy w prolegomenach — to jest

Domownicka.

Rozumiem, co to znaczy — rozumiem.

Górnogłębski.

Przystępując do drugiéj części istotnéj człowieka, a ta jest.

SCENA DRUGA.

Ciż sami, Jadwiga.

Jadwiga.

Pani Krupska przyjechała.

Domownicka.

Cóż to za nieznosna importuna — (do Jadwigi) gdzież jest?

Jadwiga.

W pierwszéj izbie.

Domownicka.

Proszę jéj tu (Jadwiga odchodzi).

Górnogłębski.

Ja tym czasem za pozwoleniem Wpani Dobr. pojdę do biblioteki. (odchodzi).

SCENA TRZECIA.

Pani Krupska, Domownicka.

K r u p s k a.

Jakże mi się masz, moja pani kochana, już to wiek, jakeśmy się z sobą niewidziały.

D o m o w n i c k a.

Prawda, iż od dawna niemiałam tego honoru.

K r u p s k a.

Nie prawże mi moja pani kochana o tych honorach, to styl Warszawski, u nas na wsi obejdzie się bez tych ceremonii.

D o m o w n i c k a.

Grzeczność wszędzie zaletna.

K r u p s k a.

Niechże i tak będzie. Cóż tu u was słychać.

D o m o w n i c k a.

Nam ci się to pytać, niedawnoś Wpani powróciła z Warszawy.

K r u p s k a.

Niewielem się tam nauczyła, bom i bawiła krótko, i interessa wszystek mi czas zabrały.

D o m o w n i c k a

Alboż to do stołecznego miasta dła interessu się jedzie.

K r u p s k a.

A po cóż tam innego jeździć. —

D o m o w n i c k a.

Dla zabawy. —

K r u p s k a.

Ja w domu nie tęsknię.

D o m o w n i c k a.

Może to być wszystko.

K r u p s k a.

Jest z łaski Pana Boga.

D o m o w n i c k a.

Ale to jedno drugiemu nie przeszkadza,

można i na wsi nie tęsknić, i w mieście się bawić.

Krupska.

Tylko to jedno drugiemu przeszkadza, moja pani, iż na wsi bez kosztu można nie tęsknić, a w mieście bardzo drogo trzeba zabawki opłacić.

Domownicka.

Ale też zabawy miejskie miłe są, rozmaite, wspaniałe, a w rodzajach swoich wielorakich nietylko rozrywają i bawią, ale i uczą. — Naprzykład teatra. — A propos teatrów. byłaś WPani na jakich reprezentacyach? —

Krupska.

Niechcąc uyjść za prostaczkę, dałam się namówić.

Domownicka.

Jakże się podobało? —

Krupska

Przyznam się WPani, że mi te kilka godzin czasu bardzo miłe zeszły, a tylem się naśmiała. —

Domownicka.

To szkoda. —

Krupska.

Jakto szkoda? — żem ja się naśmiała, a czy może być co pożądańszego jak wesołość.

Domownicka.

Nie dałaś mi WPani dokończyć. Chciałam mówić, iż to szkoda, żeś WPani nie trafiła na jaką dramę.

Krupska.

Cóż to ta drama. —

Domownicka.

Jest to rodzaj pośredniczy między komedyą a tragedyą.

Krupska.

A śmieją się tam? —

Domownicka.

Płaczą. —

Krupska.

Niechże sobie płaczą, kiedy im się płakać chce, ja moja kochana Pani ze śmiechem trzymam. Tobym ja miała za to dawać pieniądze, żebym płakała, — a jabym wolała za to płacić, żeby nie płakać.

Domownicka.

Ale bo to rzewność słodka, pochodząca z wzruszeń wewnętrznych.

Krupska.

Choćby tam sobie była i najsłodsza, ja się żadnym żywym sposobem niechcę turbować; albo to i oprócz tego niemasz dość biedy na świecie, żeby jeszcze płacić za turbacyą.

Domownicka. (na boku.)

Co za podły sposób myślenia — a urodzaje jakie też tam?

Krupska.

Nie złe — z łaski Pana Boga. — Jak też wiele u państwa kopa tego roku wydaje korcy.

Domownicka.

Jeżelić WPani ciekawa, każę zawołać ekonoma. —

Krupska.

Alboż to o tem moja pani niewiesz?

Domownicka.

A cóżto ma być do podziwienia, są od tego ludzie, którym się płaci. —

Krupska.

Ale ja pamiętam, żeś dawniej o tem WPani wiedziała, i dobrze wiedziała. —

Domownicka.

Są różne rodzaje zabaw, są też i gusta.

SCENA CZWARTA.

Domownicka, Krupska, Domownicki.

Domownicka (do męża).

Właśnieś tu WPan a propos. — Jejmość pytała mnie się — o czemże to WPani pytałaś się, coś to było podobno o kopach, — wszak prawda Mścia Dobr.

Krupska.

O dramach. —

Domownicki.

Zgódźcież się moje panie, żebym wiedział, na co odpowiedzieć. —

Domownicka.

Za pozwoleniem — zaraz będę służyć. (odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

Domownicki, Krupska.

Krupska.

Mój Mści Panie, proszę mi wytłómaczyć co to się tu u WPana dzieje. — Żona pańska zaczęła mi tu prawić o jakichsiś wewnętrznych wzruszeniach, łzach rozkosznych, dramach. — Zkądże to poszło?

Domownicki.

Nieszczęście a nieszczęście nieprzewidziane przyniosło mi w dom mędrka, niejakiego P. Górnogłębskiego; zobaczysz go tu WPani i poznasz, co za człowiek, ten wszystkiego złego przyczyną. — Ale supplikuję, zaklinam, nieracz WPani.

Krupska.

Gdyby rzecz, jak sameś WP. powiedział niebyła widoczna, trzymałabym sekret nieprzełamany. Teraz wchodzę w przyczyny ze wszech miar chwalebne delikatności WPana, i tak będę mu się starała przysłużyć, iżby to było i bez narażenia się Jejmości, i skutkiem pożądanym. —

Domownicki.

Poznaję w wyrazach WPani jej serce, dałby to Pan Bóg.

Krupska.

Spuść no się WPan na mnie, choć to ja MPanie nie filozofka, znam się nie źle na ludziach. —

Domownicki.

Niewiem, czy wiesz WPani intencyą P. Sąsiadowicza.

Krupska.

Wiem. i . . . .

Domownicki.

Żona moja zupełnie przeciwna jest temu.

Krupska.

A WPan to nie mąż? naucz się WPan odemnie, choć to od kobiety, że względy dla żon, dobre są i przyzwoite, ale kiedy ich nadto, natenczas jedno ze dwóch być musi: albo żona więcéj niż białogłowa, albo mąż mniéj niż mężczyzna. Pomyśl no WPan nad tem. (odchodzi.)

SCENA SZÓSTA.

Domownicki (sam.)

Tak to się zawzdy zdaje, którzy w głąb rzeczy niewchodzą. — Powolność moja nie z słabości, ale z rozsądku i uwagi pochodzi; a mają mnie za słabego, przecież ja w spódnicy nie chodzę. . . . Może trzeba będzie i odmienić sposób postępowania, ale się jeszcze nie będę spieszył, obaczę pierwéj, jak rzeczy pójdą.

AKT IV.

SCENA PIERWSZA.

Domownicki, Sąsiadowicz.

Sąsiadowicz.

Szkoda mówić, ale ten pan Górnogłębski bardzo coś wysoko, głęboko.

Domownicki.

A nic do rzeczy.

Sąsiadowicz.

Miałem to i ja na języku, ale kiedyś mnie Wpan uprzedził, zgadzam się zupełnie z zdaniem jego. Zdało się dotąd, iż płeć niewieścia zatopiona w fraszkach, wolna będzie od zarazy mądrości. Zawiedliśmy

się; jak na nieszczęście weszła teraz i u nich w modę, od blondynów za jednym razem skoczyły aż do metafizyki.

Domownicki.

Już ci im nauki bronić nie można.

Sąsiadowicz.

A kto im broni -- niech się cieszą -- niech czytają, niech piszą; ale niech niechodzą po rozum do takich nauczycieli i mistrzów, co to, pomazawszy sobie język niektóremi uczonemi terminami, bez applikacyi, bez nauki, prawią śmiało, a wciąż rzeczy takie, na które nie odpowiadać, ale ramionami tylko wzruszać należy. Cytują ci Ichmościowie to, czego ani czytali, obwieszczają, czego niemasz, a wszystko tonem jakimsiś gornym, wspaniałym, wyrazami dzikiemi, miną poważną.

Domownicki.

Jawneć to są i ledwo nie codzienne widowiska.

Sąsiadowicz.

Wracając się do naszego mędrca, czyżby to niemożna wynaleść jakiego sposobu, przez któryby można Jejmość odwieść od téj zbyt dobréj opinii o panu Górnogłębskim.

Domownicki.

Ciężko bardzo! używałem do tego wielu sposobów, nie były skuteczne.

Sąsiadowicz.

A gdyby naprzykład mój pan siostrzeniec, który wiele czytał, wdał się z nim w przytomności żony Wpana w rozmowę, i jawnie wypróbował powierzchowną tylko naukę jego.

Domownicki.

Nic łatwiejszego, jak racyami mędrka pokonać, ale przegadać trudno.

Sąsiadowicz.

Erast wymowny.

Domownicki.

Kiedyż kto głupiego przeparł.

Sąsiadowicz.

Żeby tak było jak Wpan mówisz, trzebaby o głupich zdesperować; przecież widziemy, iż niekiedy przestają na zdaniu rozumniejszych od siebie i dają się oświecić. Racz Wpan i Jejmości wystawić Górnogłębskiego w prawdziwem świetle, czego tym większą bydź potrzebę widzę, ile iż mi się zdaje, iż względem niego, może mieć takowe projekta, które i żądaniom siostrzeńca mojego przeciwne, i zapewne samemu Wpanu przykre. Jeżeli więc tak jest, jak ja mniemam, powiedz jéj Wpan wzręcz, iż ten człowiek, choćby też i prawdziwie uczony, nie jest w takowym stanie, iżby mógł pretendować bydź jéj zięciem; niewątpię iż swoją doskonałością, grzecznością, łagodnością, powolnością przeprzesz jéj upor i mego siostrzeńca uszczęśliwisz.

Domownicki.

Z tego, co od Wpana słyszę, nie jest mi trudno domyślić się, iż umieszczony od niego jestem w liczbie tych mężów, co to tylko z tytułu są Jegomościami. Powierzchowność, prawda, zdaje się być przeciwko mnie, ale gdybyś chciał mój kochany przyjacielu pilnie w to wejrzyć; gdybyś czuł, jak to drogo spokojność, a zwłaszcza w stanie małżeńskim, kupować trzeba.

Sąsiadowicz.

Na ten czas umiałbym tak rzeczy zgodzić, iż miałbym w domu pokój, a moja Jejmość, znałaby to, choćby i przykro jéj było, iż do męża rząd należy, a żonie powolność przystoi.

Domownicki.

Łatwo się to mówi.

Sąsiadowicz.

I czyni, kiedy się rzeczy raz dobrze zaczną.

Domownicki.

Jużem Wpanu powiedział, że każdy stan musi mieć swoje przykrości.

Sąsiadowicz.

Jużem ja Wpanu na to odpowiedział, a teraz dodaję, iż nie trzeba na przykrość narzekać, w ten czas, kiedyśmy sami winni. Jeśli się zaczęło, trzeba błąd poprawić i dać nakoniec uczuć.

Domownicki.

To gwałtowne kroki.

Sąsiadowicz.

Kiedy łagodność nie pomoże, to na ten czas trzeba się udawać.

Domownicki.

Czas — cierpliwość.

Sąsiadowicz (z żywością).

Cierpże mój Dobrodzieju — nieprzeszkadzam (odchodzi).

SCENA DRUGA.

Domownicki (sam).

Dobrze to rezonować, kiedy nie dolega. — Niechżeby był w moim stanie -- odmieniłby ton -- Ale

---

SCENA TRZECIA.

Domownicki, Domownicka.

Domownicka.

Mci panie! kiedy idzie o rzeczy ważne, jakto naprzykład o postanowienie, a przeto los dzieci, trzeba się wprzód nadtym zastanowić, i gruntownie rzecz roztrząsnąć.

Domownicki.

Zapewne, od tego ich uszczęśliwienie zawisło, krok ten delikatny.

Domownicka.

Nie przeszkadzajże mi Wpan.

Domownicki.

Słucham.

Domownicka.

Myślałam ja o tym i nieraz, i po głębokiéj, a nieraz powtorzonéj uwadze, jestem determinowana, i tak rozumiem, iż Wpan sprawiedliwym moim konsyderacyom nie będziesz się sprzeciwiał.

Domownicki.

Zapewne, jeżeli będą sprawiedliwe.

Domownicka.

Jak to? Albo to Wpan powątpiwasz o moim.

Domownicki.

Niepowątpiwam. Ale to czasem trafić się może.

Domownicka.

Cóż to takiego trafić się może.

Domownicki.

Oto ja mówię, iż czasem trafić się może, chociaż.

Domownicka.

Proszę się wytłumaczyć.

Domownicki.

Mówiłem, iż trafia się, że chociaż rzecz nam zda się być dobra, może być w istocie.

Domownicka.

Pewnie zła.

Domownicki.

Może i tak bydź.

Domownicka.

Dziękuję za dobrą opinią, o moim zdaniu i rozsądku. Jeszcześ Wpan nie słyszał, co mam mówić, a już tym obligującym wielce komplementem zaczynasz według chwalebnego wielce zwyczaju swojego.

Domownicki.

Ale Mcia pani, pocóż to się urazać; to, com mówił, ściąga się do rzeczy ogólnych. Wyraz był w powszechności.

Domownicka.

Wiem ja, co on w szczególności znaczy. Wpan, niewiem wcale dla jakiéj przyczyny, zawziąłeś się na pana Górnogłębskiego.

Domownicki.

Jeszczeć o nim wzmianki niebyło.

Domownicka.

Jakbyś to Wpan o tym niewiedział, do czego mój dyskurs zmierza. Niemam czasu dłużéj bawić, oznajmuję więc Wpanu w krótkości słów, iż postanowiłam wydać za pana Górnogłębskiego moją córkę.

Domownicki.

Wszak jest i moją.

Domownicka.

A już ci.

Domownicki.

Więc i mnie o jéj postanowieniu myśleć należy.

Domownicka.

A kto Wpanu przeszkadza? . .

Domownicki.

Wpani?

Domownicka.

Ja?

Domownicki.

Wpani sama.

Domownicka.

W czymże to?

Domownicki.

Oto w tym, że rezolucya Wpani nadto jest spieszna; żeś niedobrze jeszcze poznała osobę, którą wybierasz, że się lepsza partya trafić może, że nakoniec między małżeństwem w takowych okolicznościach niepowinna być z jednéj strony rezolucya, póki się druga na to niezgodzi.

Domownicka.

Obeszło by się bez odpowiedzi na takowe zarzuty; uczynię ją jednak, kiedy jak

widzę Wpan koniecznie tego wymagasz. Rezolucya nie jest spieszna, kiedy po głębokiej uwadze. — Kto umie ludzi poznawać, niepotrzeba mu do tego długiego czasu. — Niemoże się lepsza partya trafić nad człowieka doskonałego, a na koniec i między małżeństwem, kiedy żona ma racyą, nie szpeci to męża, że jéj usłucha. Kłaniam uniżenie. (odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Domownicki (sam).

Piękny skutek filozofii? -- Argumenta zwięzłe. Już też mi i cierpliwości niestaje -- słuchać rady Sąsiadowicza, ale to sposoby gwałtowne; kto wie, może się tym jeszcze rzeczy pogorszą. — Z tym wszystkim już téj powolności podobno nad to — Poczekam jeszcze cokolwiek, a jeżeli —

SCENA PIATA.

Domownicki, Julianna, Jadwiga.

Domownicki.

Masz jaki do mnie interess, moje dziecię.

Julianna.

Niemam żadnego Mci Dobrodzieju, przyszłam tylko —

Domownicki.

Chodźże, ja mam do ciebie — (do Jadwigi) ustąp troche (Jadwiga odchodzi).

SCENA SZOSTA.

Domownicki i Julianna.

Domownicki.

Jużeś doszła tych lat, iż nam o twojém przyszłém postanowieniu myśleć trzeba.

Bądź o tem zapewniona, iż nigdy zdania twojego niewolić, ani powagi mojéj ojcowskiéj na twoje złe obracać nie chcę.

Julianna (pada mu do nóg).

Ach! najukochańszy ojcze.

Domownicki (podnosi ją.)

Wstań moje dziecię — a słuchaj mnie. Trafiać ci się będą partye i może już są tacy, którzy i twojego i naszego zezwolenia czekają.

Julianna (przerywa mu).

Zmiłuj się WPan Dobrodziéj, nie daj się nakłonić na odezwę — jak słyszę.

Domownicki.

Ale to człowiek przystojny.

Julianna.

Nie sądzę nikogo, ale z tem wszystkiem --

Domownicki.

Cóż to masz przeciw niemu?

Julianna.

Wstręt nieprzezwyciężony — będę ofiarą posluszeństwa — ale mi ta ofiara życie odejmie. —

Domownicki.

Ztem wszystkiem zdawało mi się dotąd, iżeś tego nie wydawała przynajmniéj, ażeby Erast —

Julianna (zmieszana).

To prawda, iż znam, być najistotniejszym obowiązkiem moim, być posłuszną woli rodzicielskiéj — . . .

Domownicki.

No, moje dziecię — nie przezwyciężaj się — wolę ja uszczęśliwinie twoje, niż moję satysfakcyą.

Julianna.

Skoro słyszę, iż to jest satysfakcyą WPana Dobrodzieja, jest oraz i moją i chętnie. —

Domownicki.

To zbytek powolności, moje dziecię — broń Boże, żebym cię miał naglić — i owszem, idę do Pana Sąsiadowicza — (chce odchodzić).

Julianna (pada mu do nóg).

Zatrzymaj się WPan Dobr.

Domownicki.

Cóż to znaczy, moje dziecię! — ja po tobie ofiar nie wyciągam, — bądź tylko szczęśliwa, — mniejsza o moją satysfakcyą.

Julianna.

Ale, bo — ta —

Domownicki.

Powiedz szczérze, co myślisz. — Otwórz mi szczerze serce twoje. — W tem wszystkiem albowiem, co widzę, co słyszę — musi być co takiego. —

Julianna.

Przezwyciężam wstręt naturalny.

Domownicki.

Ale jużem ci powiedział, że ofiar i żadnego przezwyciężenia od ciebie nie wyciągam.

Julianna.

Niegodnam tych względów, z tem wszystkiem, jak mi WPan Dobrodziéj pozwolisz.

Domownicki.

Ale któż ci broni.

SCENA SIODMA.

Cisz sami i Jadwiga.

Jadwiga.

Już też, choć mi WPan nie kazał, muszę przyjść, bo się widzę WPaństwo bezemnie nie zrozumicie. Oto, Mści Dobrodzieju, ja WPanu powiem wzręcz, że Panna Julianna —

Julianna (do Jadwigi na stronie).

Ale, co ty robisz — Zmiłuj się —

Jadwiga.

Szepc WPanna jak chcesz, a ja jednakowo Jegomości powiem, — że WPanna Erasta ko —

Julianna (zatyka jéj gębę).

Ale, do czegoż to znowu? —

Jadwiga.

Nie wierz jéj WPan — oto Erasta kocha, ja o tem wiem i przysięgam — że tak jest, a nie inaczéj; rozumiała, że WP. mówisz o Górnogłębskim — i dla tego —

Domownicki (do Julianny).

Cóż na to mówisz?

Julianna.

Ale bo — MDobrodzieju — to prawda — iż mówić nie mogę — abym miała — bydź —

Domownicki.

Już ja za ciebie dokończę, iż Erastowi sprzyjasz, wszak prawda.

Julianna.

Kiedy w tem widzę wolę ojcowską, natenczas. —

Domownicki.

Oszczędzam ci moje dziecię naturalnego wstrętu, który.

Jadwiga.

Ale przysięgam Panu Bogu Mści Dobr. że nie ma wstrętu. —

Domownicki. (do Jadwigi.)

Niewyrywajże się; ja nie o tem mówię (do Julianny.) kontent jestem z tego, iż moja wola z twoją się zgadza — pójdę więc.

Julianna.

Ale nie racz WPDobrodziéj wspomnieć co o tem przed Jéjmością.

Domownicki.

Spuść się na mnie moje dziecię, będzie to wszystko dobrze. (odchodzi.)

SCENA OSMA.

Jadwiga.

Miał tu przyjść biegacz, a widzę go jeszcze niemasz. — Zaczekam, a obaczę, jeżeli go potrafię nakłonić na naszę stronę. — Ale ma pana mądrego, trudno go będzie oszukać; albož to i mądrych nie oszukują. —

SCENA DZIEWIATA.

Jadwiga, Biegacz.

Biegacz.

Cóż to WPanna takiego sama do siebie gadasz? —

Jadwiga.

Oto łaję tych, co słowa niedotrzymują.

B i e g a c z.

Zapewne, że ich trzeba łająć i dobrze, kiedy słowa niedotrzymują, a nie mają żadnéj słusznéj przyczyny do exkuzy.

J a d w i g a.

Są to tacy, którym łatwo o exkuzę, bo są gotowi, sami skomponować, choćby jéj i nie było.

B i e g a c z.

Łajmyż ich oboje. —

J a d w i g a.

Dajmy im teraz pokój, bo nie mam czasu. Pamiętasz, com ci ostatnią razą powiedziała, kiedyśmy tu z sobą gadali? —

B i e g a c z.

Każde twoje słowo na moim sercu tak jest wyryte, jak na —

J a d w i g a.

Przestańże tych balamuctw, jużem ci raz powiedziała, że ich nie łubię. — Jeżeli tego

będzie więcéj, to kwita z przyjaźni — rozumiesz?

B i e g a c z.

Słucham tedy. —

J a d w i g a.

Tn nie trzeba słuchać, ale odpowiedzieć, kiedy się pytają. —

B i e g a c z.

Pytajże się pani moja, królowa moja, bogini. —

J a d w i g a.

Tobie widzę twój pan głowę zawrócił. —

B i e g a c z.

Oj! co nie pan, to nie pan. —

J a d w i g a.

A któż taki?

B i e g a c z.

A każesz powiedzieć? —

Jadwiga.

Już nie powiadaj, bo wiem, że znowu co nic do rzeczy wypleciesz. —

Biegacz.

Affekt serdeczny serca mojego. —

Jadwiga.

Wzdychajże z swoim affektem, dopóki ci się podoba, ja niemam czasu. (chce odchodzić.)

Biegacz (przytrzymuje).

Ale cóż to za niegrzeczność. — —

Jadwiga.

Ale co to za niedyskrecya, za trzpiotostwo prawić androny, kiedy ja chcę, żebyś mi na moje pytanie odpowiadał.

Biegacz.

Już teraz odpowiem.

Jadwiga.

Pytam cię, czyliś się starał odwieść pana od téj jego nieszczęśliwéj konkurencyi.

Biegacz.

Jakto nieszczęśliwéj?

Jadwiga.

Zapewne że nieszczęśliwéj, boby nigdy serca żony swojéj niepozyskał. —

Biegacz.

Moja kochana, jaka żeś to prostaczka, albo to się teraz dla serca żenią?

Jadwiga.

A już ci mnie się zdaje, że nie dla inszéj przyczyny żenić się można, tylko żeby być szczęśliwym; a jak być szczęśliwym, kiedy się małżeństwo nie kocha. —

Biegacz.

A posag? —

Jadwiga.

A taka to mądrość twego pana Górnogłębskiego?

Biegacz.

Zapewne że mądrość, — wszystko fraszka na tym świecie, pieniądze grunt. —

Jadwiga.

To i ty tak myślisz?

Biegacz.

Ja tak myślę, jak cały świat. —

Jadwiga.

Pójdź że sobie precz i z twoim światem, ja z takimi, co tak myślą, i gadać nie chcę.

Biegacz.

Nie gniewajże się, ja to ci tylko powiadam, co mówi mówi mój pan. —

Jadwiga.

Gadałżeś z nim w naszym interessie.

Biegacz.

Nie jeszcze, bo od tego czasu, jakeśmy z sobą mówili, nie było go w stancyi.

Jadwiga.

Jest teraz — widziałam go dopiero, jak wychodził od Jejmości z biblioteki. Idźże do niego, rób, co możesz, a jeżeli dokażesz

tego, czego ja po tobie wyciągam, możesz być pewnym. —

Biegacz.

Ale co za pożądane słowa.

Jadwiga.

Nie praw andronów, a biegaj. (biegacz odchodzi).

SCENA DZIESIĄTA.

Jadwiga. (sama.)

Ja nadziei nie tracę, chociaż to nasza Jejmość, co zechce, dokaże; przecież jakby mi coś do serca mówiło, zawzdy mi się zdaje, że pan Górnogłębski kiedyśkowiek ztąd wyleci. — Ale — ale — a mnie już podobno Erast w ogrodzie czeka. — Co też ta miłość robi, nierazby mi się śmiać chciało z jego troskliwości, gdyby mi nie szło o moją panią, a do tego (trzęsie workiem) i to nie źle. —

AKT V.

SCENA PIERWSZA.

Górnogłębski, Biegacz.

Górnogłębski.

(siedzący stołek próżny koło niego).

Siądź bracie koło mnie.

Biegacz.

Ale Mci Dobrodzieju.

Górnogłębski.

Siądź Bracie.

Biegacz.

Ale ja sługa pański.

Górnogłębski.

Pan -- sługa -- to wyrazy gminne.

Biegacz.

Ale mi Wpan płacisz.

Górnogłębski.

Ja się z tobą dzielę — (pokazuje stołek). Ale siądź, bracie.

Biegacz (siada).

Jeżli tak, to zły podział — dajesz mi Wpan na miesiąc dwanaście złotych, a sam masz może kilkaset; Wpan w karmazynie, a ja w falendyszu, Wpan jesz kuropatwy, a ja rzepę.

Górnogłębski.

Tak falendysz jako i karmazyn zarówno okrywają człowieka, pieniądze czczość, a rzepa zdrowsza niż kuropatwy.

Biegacz.

Jednakowo by ja wolał kuropatwy niż rzepę, a mów Wpan, co chcesz, dobra to jednak rzecz na tym świecie, pieniądze.

Górnogłębski.

Nie dziwuję się, że gadasz podło, jeszcze twoje oczy w bilmie.

Biegacz.

O Mpanie, co nie w bilmie, to nie w bilmie; za pieniądze wszystkiego dostanie, a że Wpan masz na sobie karmazyn, siedzisz z panami wygodnie w ciepłej izbie, a my nieboracy w falendyszach muszemy marznąć za drzwiami.

Górnogłębski.

Nie odzież, ale co wewnątrz, jest człowieka istością.

Biegacz.

A jednakowo starasz się Wpan, jak powiadają, o córkę pana Domownickiego, bo posąg dobry.

Gornogłębski.

Któż ci to powiedział, a choćbym się dał nakłonić do tej konkurencyi, nie posag

byłby moją w tej mierze pobudką. Dobre mienie, to przypadek, rozum treścią. Jeżeli więc konkurencyą oświadczę; chyba w tę nadzieję to uczynię, iż będę się mógł spodziewać, że córka wda się w matkę — i będzie miała względem mnie jéj sentymenta.

Biegacz.

Jakże się Wpan mylisz.

Gornogłębski.

Jak to ty wiesz.

Biegacz.

Wiem i zapewne.

Górnogłębski.

Od kogo?

Biegacz.

A na co Wpanu ta ciekawość?

Gornogłębski.

Trzeba, żebym o tym wiedział, idzie tu albowiem o rzecz wielkiéj wagi, o moje uszczęśliwienie.

Biegacz.

Ale mnie Wpan niewydasz?

Górnoglębski.

Przyrzekam.

Biegacz.

Kiedy tak, to Wpanu powiem. Oto Jadwiga służąca Julianny, z którą ja, od dawnego czasu mam — zachowanie -- znajomość dobrą — konfidencyą.

Górnoglębski.

Cóż tedy ta Jadwiga?

Biegacz.

O! jaki to Wpan niecierpliwy.

Górnoglębski.

Dokończ — że

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga, ale mnie Wpan niewydasz.

Górnoglębski.

Mówże — bo

Biegacz.

Bo co?

Górnoglębski.

Słuchajże, ja tej zbytecznej poufałości nie lubię. —

Biegacz.

A wszak my bracia.

Górnoglębski.

Porzućże Waszeć te żarciki, bo ja tu cię wnet nauczę, jakto gadać z panem.

Biegacz.

Pan, sługa, to wyrazy gminne.

Górnoglębski (porywa się).

A pókiż to tego będzie, hultaju.

Biegacz (na stronie).

A Mści Dobrodzieju, sameś WPan Do-

brodziéj dopiero powiedział, że passye ludzkie — że to pospólstwo — że to bilmo — a wreszcie i pieniądze fraszka — i kuropatwy fraszka — i panna Julianna fraszka. —

Górnogłębski.

Waszeci widzę chce się żartować, a ja nie jestem w humorze słuchać tych błazeństw. Mówże, co masz mówić, a zaraz, albo cię wypędzę. —

Biegacz.

Kiedy tak, — to zaczynam.

Górnogłębski.

Daléj. —

Biegacz.

Ale o czemże my to mówili.

Górnogłębski.

Oto zacząłeś powiadać, jako Jadwiga.

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga, sługa albo raczéj pokojowa panny Julianny, córki JPana Domownickiego. —

Gornogłębski.

Idźże, znowu tytuły.

Biegacz.

A jużci trzeba ludzi nazywać tak, jak się zowią. —

Górnogłębski.

Ta tedy Jadwiga. —

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga. —

Górnogłębski.

Daléj. —

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga powiedziała mi, iż jéj pani — ale bo się WPan będziesz gniewał.

Gornogłębski.

Nie będę.

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga — powiedziała mi — a mamże tak mówić, jak mi ona powiedziała?

Górnoglębski.

Słowo w słowo.

Biegacz.

Powiedziała mi tedy, iż jéj pani WPana cierpieć nie może.

Górnoglębski.

Cierpieć niemoże? a dla czego?

Biegacz.

O co tego — to powiedzieć nie mogę.

Górnoglębski.

Mów.

Biegacz.

A każesz WPan?

Górnoglębski.

Każę. —

Biegacz.

Powiedziała mi tedy, iż dlatego (ale to nie ja mówię, lecz panna Julianna.)

Górnoglębski.

Dobrze — panna Julianna.

Biegacz.

Powiedziała tedy panna Julianna, iż dla tego WPana cierpieć nie może; iż WPan jesteś — ale jakże ja to mam powiedzieć.

Górnoglębski.

Mów śmiało.

Biegacz.

Iż WPan jesteś bałamut.

Górnoglębski.

Bałamut?

Biegacz.

Tak jest, bałamut — i więcéj jeszcze powiedziała.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż takiego?

B i e g a c z.

Iż WPan jesteś filut.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Da — filut?

B i e g a c z.

I więcéj jeszcze powiedziała.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż?

B i e g a c z.

Iż WPan jest oszust!

G ó r n o g ł ę b s k i.

Daléj

B i e g a c z.

I więcéj jeszcze powiedziała.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż powiedziała?

B i e g a c z.

Iż WPan jesteś głupi.

Górnogłębski (goni go z kijem).

Łżesz — łotrze — bestyo — hultaju — zdrajco —

B i e g a c z (uciekając).

Alboż to ja M. Panie — dla Boga — Upamiętaj się WPan — Co WPan robisz?

Górnogłębski (siada).

Sluchajno także, mnie się wszystko zdaje, iż to Waścin koncept. Dowiem ja się prawdy, a jeśli się najmniejszy fałsz pokaże, twoje życie w odpowiedzi, idż precz.

SCENA DRUGA.

Górnogłębski sam (chodząc).

To nie podobna. Zapewne ten zdrajca, — on to niby pod pokrywką prostoty. — Za-

czynam się ja na nim poznawać, — trzeba tu będzie. — Ale kto wie, może też to albo podstęp, albo przywiązanie do kogo innego, a może i do Erasta. Ale choćby i tak było. Czyżby mogła być tak zaślepioną? tak z rozumu obraną? to być nie może.

SCENA TRZECIA.

Ten sam
Erast i Sąsiadowicz.

Sąsiadowicz.

Możnasz się spytać, jaki był cel rozmyślań WPana, którym przerwał. Siostrzeniec mój, ile jeszcze młody, a nauki lubiący, pragnąłby z tak uczonéj konwersacyi korzystać.

Erast.

Konwersacya uczonych.

Górnogłębski.

Cóż WPan rozumiesz przez ten wyraz uczonych?

Erast.

Rozumiem podobnych WPnnu.

Górnogłębski.

Przepraszam, do bakałarstwa się nie zniżam. Mądrość jest na uczuciu i wyjaśnieniu. Chcąc zaś żądaniom WPana dogodzić, najprzód od tego zaczynam, iż duch wzniesiony nad atmosferę przeświadczeń, lubi przestronność.

Sąsiadowicz.

I kommunikuje się.

Górnogłębski.

Tak jest. Właśniem teraz układał projekt, ułatwiający poznanie rzeczy, jednoczący narody, w powszechności karb wprawiający wiadomość.

Sąsiadowicz.

Jakież do tego środki, sposoby?

Górnogłębski.

Jeden — i łatwy.

Erast.

Jakiż przecie? —

Górnogłębski.

Zatracenie języków.

Erast.

A jakże mówić?

Górnogłębski.

Naprzykład, brzmienie słów, mogłaby zastąpić modulacya tonów.

Sąsiadowicz.

A pismo?

Górnogłębski.

Partytury.

Sąsiadowicz.

Toby cały świat śpiewał.

Górnogłębski.

Wszystkie zwierzęta nie innym się sposobem tłomaczą; aże przyrodzenie nie dało słów, ani reguł grammatyki, do nich stósować się należy. A tym sposobem, jako muzykalna melodya wszystkich zarówno w przymiot słuchliwy uderza, przyjęte do harmonicznych tonów i semitonów idee, oznaczałyby, co czujem wewnątrz, a całyby się świat na ten czas rozumiał.

Erast.

Ale szkodaby była tylu ksiąg wybornych, tyla wynalazków uczonych, któreby przezto zaginęły.

Górnogłębski.

Alboż to starożytność nadaje szacunek?

Sąsiadowicz.

Taką rzeczą wszyscy byli przedtem w błędzie.

Górnogłębski.

MPanowie, nim owoc do pory przyjdzie, najprzód drzewo wigoru nabywa, pomału się pączki otwierają, liść zieleni, kwiat wschodzi, owoc zawija, ukazuje, wzrasta, rumieni, smak bierze — dopiero po tem wszystkiem nadchodzi dojrzałość. Rozumiecie WPanowie, co przez to rozumiem?

Erast.

Porównanie wcale poetyczne.

Gornogłębski.

Proszę nie szpecić wyrazów moich tak podłym przydomkiem.

Sąsiadowicz.

Alboż to poezya?

Górnogłębski.

Nicość . . .

Sąsiadowicz.

A krasomówstwo —

Górnogłębski.

Dźwięk —

Sąsiadowicz.

Przecież kunszt wymowy zażywany był do rzeczy najważniejszych i wszystkie wieki.

Górnogłębski.

Jużem na to odpowiedział, iż to wszystko, cokolwiek dawne, uprzedzenie i zabobonne uprzedzenie —

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i P. Krupska.

P. Krupska.

Cóż to, WPanowie, widzę dysputujecie?

Sąsiadowicz.

Mieliśmy rozmowę o naukach, które Jegomość i gani i znosi.

P. Krupska.

A Jegomość, powiadają, że uczony, mądry.

Górnoglębski.

Mniéj niewiadomy, Mościa Dobrodziejko.

P. Krupska.

To niby pokora.

Górnoglębski.

Wyznanie —

P. Krupska.

Czego?

Górnoglębski.

Istoty —

P. Krupska.

Jakiéj?

Górnoglębski.

Istoty rzeczywistéj.

P. Krupska.

Gadajże WPan po polsku, bo ja prostaczka, chciałabym się czego nauczyć, a tych wykwintów nie rozumiem.

Górnoglębski.

A przecież uderzają w umysł.

Krupski.

A czemże to uderzają?

Górnoglębski.

Dzielnością wewnętrzną.

P. Krupska.

MPanie! powiadają, że WPan mądry; ja temu wierzę; ale jeżeli wszyscy WPanu podobni, tak gadają jak WPan, żal się Boże téj mądrości, któréj nikt zrozumieć nie może. Gadaj no WPan po ludzku. —

G ó r n o g ł ę b s k i.

Po ludzku! — ha — ha — ha —

K r u p s k a.

Z czego się WPan śmiejesz?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Przepraszam Mścia Dobrodziejko — ale niektóre wyrazy . . .

K r u p s k a.

Pewnie moje, zdają się WPanu być godne śmiechu.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Broń Boże! Mścia Dobrodziejko — ale — ha — ha — ha — ha —

K r u p s k a.

A skończyłżeś WPan śmiać się?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Nie, zaczynałem — bo tylko —

K r u p s k a.

Cóż to tylko?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Oto właśnie przypomniałem sobie.

K r u p s k a.

Cożeś to WPan sobie przypomniał?

G ó r n o g ł ę b s k i.

To do tego nie należy.

K r u p s k a.

Naucz że się WPan, Mści Panie mądry, odemnie choć prostaczki, że śmiać się komu w oczy, jest to grubiaństwo. Że kiedy się pytają, trzeba odpowiadać, że kiedy WPan masz dawać odpowiedź, masz ją dawać zrozumiale, że te wszystkie wykwintne słowa i dziwackie wyrazy, nic nie znaczą. Rozumiesz WPan? —

G ó r n o g ł ę b s k i.

Mcia Dobrodziejko, znam ja to dobrze, jaki się należy respekt dla płci damskiej — (patrzy na suknie).

P. Krupski.

Ale cóż to za śliczna materya, kwiaty jak żywe — dobranie kolorów. . .

P. Krupska.

Cóż to się znaczy Mpanie? Rozumiesz to Wpan, iż my białogłowy o niczem więcej nie umiemy gadać, tylko o kwiatkach — Affektacya ta Wpana, za pozwoleniem jego, wcale nie do rzeczy. Nie o kwiatkach tu była mowa, a rozumni ludzie powinni się wciąż trzymać zaczętej materyi . . .

Górnogłębski.

(niepostrzega Domownickiej, która wchodzi).

Ja też właśnie zacząłem był mówić o materyi . .

Krupska.

Wstydź się Wpan tego koncepciku Mpanie mądry, a bardziej jeszcze tegoś się powinien wstydzić, że cię białogłowa napomina.

Górnogłębski.

Płeć piękna mistrzować powinna.

Krupska.

Mój Dobrodzieju! ani ja młoda, ani ja piękna, ani ja filozofka, ale dał mi pan Bóg rozsądek. Szanuję mądrych, ale takich, którzy prawdziwie są mądrymi.

Górnogłębski.

Po czymże to Wpani Dobrodziejka poznajesz prawdziwie mądrych.

P. Krupska.

Oto po tém Mpanie, kiedy się z swoją mądrością nie nadstawiają, kiedy z ochotą użyczają drugim, co sami wiedzą, kiedy nierozumieją, że oni tylko rozumni, a wszyscy głupi; kiedy nie decydują o tym, czego czasem i sami niewiedzą, a nakoniec kiedy gadają tak, że ich można zrozumieć.

Górnogłębski.

Kiedy więc Wpani chcesz tego, żebyś mnie dobrze zrozumieć mogla, otoż i ja Wpani powiem, że ja takowe białe głowy

szacuję, które się ściśle trzymają obowiązków; które pielęgnowania dzieci, gospodarstwa, rządu domowego pilnują; które się w dysputy z mądremi niewdają; które nie trawią czasu bez potrzeby nad naukami mniej im przyzwoitemi; które na fundamencie niby jakichsiś z książek nabytych wiadomości mężami rządzić nie pragną; — które mierzą ekwatory, a niewiedzą, co się dzieje w domu.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami — Domownicka z córką do Górnogłębskiego.

Dziękuję Mpanie za ten piękny panegiryk płci naszéj — Mpanie Górnogłębski, niebawiąc długą odpowiedzią - precz z mojego domu — tego momentu.

Górnogłębski.

Ale Mcia Dobrodziejko.

Domownicka.

Proszę Mpanie — bo jeżeli się Waść będziesz opierał. (Górnogłębski ucieka).

SCENA OSTATNIA.

Ciż sami — Domownicki.

Domownicki.

Cóż to takiego znaczy? spotkałem z wielkim pośpiechem uchodzącego ztąd pana Górnogłębskiego — ledwo mnie nie roztrącił.

Domownicka.

Oto ten bakalarz niedouczony — do takiego stopnia zuchwałości i impertynencyi przyszedł.

Domownicki.

Górnogłębski?

Domownicka.

Onże sam, ten bałamut — oszust — Wstydzę się tego i wyznaję to bez wstrętu

przed Wpaństwem, iżem się powieściom bajacza tego dała omamić. (do Erasta) Mpanie łączę zdanie moje z mężowskim, daj Wpan rękę córce naszéj.

(upadają do nóg rodzicom).

Szczęśliwy przypadek otworzył mi oczy i poznaję teraz widocznie, że mędrki dmą, ale prawdziwéj mądrości zawsze towarzyszy skromność.

K O N I E C.